

Beniamin Muszyński

Hipoteza

(Rozdział I)

Wersja wstępna

Niniejsza publikacja nie może być modyfikowana ani odsprzedawana bez pisemnej zgody Autora. Niedozwolone jest jej kopiowanie i dystrybucja.

Korekta: Justyna Anna Maksoń

Copyright © by Beniamin Muszyński, 2015.

Magdzie

Prolog

W rozbitym przez ból umyśle nieśmiało zabłysła pierwsza iskra świadomości. Z chaotycznego natłoku myśli, wrażeń i mglistych wspomnień z wolna zaczął wyłaniać się w miarę klarowny obraz rzeczywistości. Mężczyzna otworzył oczy, wziął głęboki wdech, przełknął ślinę. Kończyny poruszyły się niemrawo, a z ust dobiegł cichy jęk. Żył. Ból minął. To były pierwsze fakty, jakie świadomie zarejestrował, wszystko inne nie miało jeszcze znaczenia. Czekał. W końcu gdzieś głęboko wśród iskrzących neuronów, gdzie rodzą się sny i mieszka jaźń, coś znów się poruszyło, rozbłysła jakaś ważna myśl. Musiał ją uchwycić. Zmrużył zatem powieki, ponownie odcinając się od świata barw i kształtów. Zaraz potem przebudziło się to, co zostało z jego pamięci. Mężczyzna przypomniał sobie, że ludzkość przegrała. To był koniec cywilizacji, świat przestał należeć do ludzi. *Homo sapiens* nie miał już przyszłości, dominujący gatunek został skreślony. Większość ludzi zginęła, a kobiety przestały rodzić. Martwe łona w umarłym świecie. To pasowało. Nastął, tak żarliwie zwiastowany przez popkulturę, ósmy dzień dzieła stwórczego – czas po końcu świata. Postapokalipsa. Otworzył oczy i powoli wciągnął zatechłe powietrze do płuc. Nadal żył.

Rozdział I

Cierpki zapach potu wypełniał niewielkie pomieszczenie na poddaszu, pośrodku którego, na wyświechtanym materacu, leżał półnagi mężczyzna. Przez ułokowane w ukośnym suficie okienko do wnętrza pokoiku wpadało światło. Nieszczęśnik podniósł się niezdarnie i, walcząc z nagłymi zawrotami głowy, otworzył lufcik, wpuszczając do środka podmuch świeżego powietrza. W brudnej szybie ujrzał twarz obcego człowieka. Kim był ten wystrzyżony mężczyzna z masywną szczęką i boksterskim nosem? Tego nie pamiętał. Kołujące się w jego umyśle strzępy wspomnień nie mogły pomóc nawet w określeniu imienia. Twarz i umięśnione ciało sugerowało, że w życiu polega przede wszystkim na swojej sile. I to wszystko? To on? Kłębowisko mięśni rozwiązujące problemy pięściami? Nie, musiało być w nim coś więcej. Czuł w sobie coś... Nieokreślonego. Ważnego. Rozejrzał się po pokoju, dostrzegając stojący w kącie taboret, na którym ktoś położył stary portfel z brązowej skóry. Mężczyzna rzucił się na przedmiot, nerwowo szukając w nim utraconej tożsamości. Znalazł jedynie zabezpieczoną taśmą klejącą kartkę z zeszytu. Rozłożył zmaltretowany świstek papieru i chciwie wpił się wzrokiem w zapisane niezbyt starannym pismem oświadczenie:

Jestem Tobą. Nazywasz się Dymitr, to nie jest prawdziwe imię, zobaczyłem je na kartce z kalendarza w domu, w którym się obudziłem po utracie pamięci. Co jakiś czas, co trzy, cztery tygodnie, może częściej, będziesz miał ostre bóle głowy. Za każdym razem będzie gorzej, aż w końcu (jakiś 5, 6 atak) stracisz pamięć. Spisuję to dwa lata od Katastrofy spowodowanej podobno wolą boga. Nie pamiętam już prawie niczego ze swojej przeszłości. Mam tylko świadomość, że WIEM COŚ WAŻNEGO. Jest to związane z jakąś „wieżą Babel”, szukam informacji o takim miejscu. Trzymaj się, bądź twardy, nie ufaj nikomu, wierz w siebie.

Dymitr

– Dymitr – powiedział na głos. – Nazywam się Dymitr. Jestem Dymitr.

W tym wschodnim imieniu było coś miłego dla ucha, jakaś nutka swojskości, a skoro jego poprzednie „ja” je wybrało, to „on” nie zamierzał podważać tej decyzji. Ciekawe, czy przybierał to imię po każdym ataku amnezji? Ile lat minęło od napisania tego liściku? Dymitr przekrzywił okno tak, że niemal znalazło się w pozycji pionowej i zadarł głowę w stronę niewyraźnego odbicia. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, nie więcej. Miał na sobie

workowate spodnie i przepocony podkoszulek bez rękawów. To mu nie pasowało. Może, przewidując ostatni atak, przebrał się w coś takiego? Ściągnął z siebie szare dresy i obejrzał je dokładnie. Były w miarę czyste, bez śladów ekskrementów, w malignie nie spędził więc wiele czasu. Ruszył wolno ku drzwiom i wyszedł na wyłożony zakurzonym, zielonkawym dywanem korytarz prowadzący ku schodom. Obliznął spierzchnięte wargi i odkaslnął gwałtownie. Z dołu natychmiast dobiegł go głos jakiegoś starszego mężczyzny:

– Odzyskałeś już świadomość? Nazywasz się Dymitr, informacje o sobie masz w portfelu na taborecie, tak jak prosiłeś.

– Kim jesteś? – odkrzyknął, ostrożnie schodząc na dół.

– Przyjacielem – odparł głos. – Opiekowałem się tobą.

Wchodząc na półpiętro, Dymitr dostrzegł nieznanego „przyjaciela”, wspartego o ścianę naprzeciw schodów. Starszy, całkiem już siwy mężczyzna ze związanymi w kuc włosami uśmiechnął się przyjaźnie, wyciągając dłonie z kieszonek jeansowej kamizelki, wyglądającej jak przedłużenie jego wysłużonych spodni.

– Cześć, Dymitr.

– Kim ty niby jesteś?

– Maksymilian, albo po prostu Maksym.

– Dymitr, Maksym... Czuję się jakbyśmy byli w Rosji – wybąkał niepewnie młodszy z mężczyzn, czujnie obserwując rozmówcę.

– Może tam w końcu udałoby się znaleźć większe zapasy wódki. Niestety! Nadal jesteśmy na starych śmieciach w Polsce, jakieś osiem kilometrów od Krakowa.

– W notatce nic o tobie nie było.

– Mówiłeś kiedyś, że jest stara.

– Ile lat minęło od katastrofy?

– Pięć.

– Więc od lat tułam się nie wiadomo za czym?

– Nie myśl teraz o tym. Chodź, niedawno padało, więc jest sporo deszczówki, umyjesz się porządnie, dam ci twoje rzeczy i coś zjemy.

Dymitr skinął głową, ruszając śladem swojego kompana. *Maksym. Niech będzie i*

Maksym - pomyślał. Ten człowiek mu pomógł, więc chyba faktycznie można go było uznać za przyjaciela. A przynajmniej chwilowego sojusznika. Ciekawe, od kiedy się znają? Skurcz w żołądku zwrócił myśli mężczyzny w stronę bardziej przyziemnych spraw. Tak, zjedzenie czegoś to dobry pomysł. Ale wyraźnie wyczuwalny fetor spoconego ciała był, póki co, bardziej frustrujący niż głód. Stary miał rację, najpierw wypadało się porządnie umyć.

Mała kuchnia ceglanego domku, w którym rezydowali, wyglądała dosyć przytulnie, mimo pozostałości po niechlujnie zerwanych pajęczynach i monstualnej ilości kurzu. Kąpiel była doskonałym pomysłem. Dymitr czuł się znacznie lepiej, zupełnie jakby woda i resztki szarego mydła zmyły z niego wszystkie troski. Ubrany w swoje niemożliwe połatane, znoszone ubrania w moro miał wrażenie, jakby część mglistych wspomnień powoli zaczynała do niego wracać. Pamiętał już reguły postępowania w tym nowym, nieprzyjaznym człowiekowi świecie. A prosta, skórzana kurtka z usztywnionym kołnierzem sprawiała wrażenie czegoś, co należało do jego poprzedniego życia, tego sprzed zagłady. Z tamtego okresu pamiętał całkiem sporo, ale żaden z tych obrazów nie dotyczył bezpośrednio jego. Zdobyte informacje, tytuły obejrzanych filmów, jakieś zarysy fabuł przeczytanych książek. Blade echa tego, kim był kiedyś „Dymitr”. Tymczasem Maksym krzątał się wokół rozpalonego pieca kaflowego, podgrzewając na jego blacie garnek z fasolą. Staruszek wydobył z kredensu talerze, na które wylał zawartość garnczka i rzucił w Dymitra łyżką, zachęcając:

– Ćwicz refleks!

Mężczyzna zadziałał szybciej niż pomyślał, gładko chwytając przedmiot w locie.

– Brawo – skomentował stary. – Przyzwyczajaj się. Jesteś cholernie zręczny! Szybki, silny, wytrzymały, bezlitosny. Dziecko tych czasów.

– Super – mruknął Dymitr. – Po co szliśmy do Krakowa?

– Ty szedłeś, ja jestem tylko cieniem, który czasem ci coś ugotuje, żebyś nie marnował czasu na takie sprawy.

– Aha.

– Ech, liczyłem, że po tym restarcie pamięci będziesz bardziej rozmowny. Ale chyba pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– To po co szedłem do Krakowa?

– Podobno jest tam jakieś większe skupisko ludzi, myślałeś, że może tam ktoś słyszał

o tej twojej wieży Babel.

Dymitr burknął coś pod nosem i nie spytał już o nic, skupiając całą uwagę na jedzeniu, co pewien czas zerkając kontrolnie w stronę Maksyma. Stary wyraźnie chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego mruczał coś tylko pod nosem, powoli żując fasolę.

– Chcesz czegoś? – spytał, gniewniej niż zamierzał, Dymitr.

– Spokojnie! Tylko się zastanawiałem, czy... W zasadzie jesteś teraz trochę jakby nowym człowiekiem, nie musisz szukać tej całej wieży. Mijaliśmy dużo miejsc, w których mógłbyś nieźle żyć. Masz krzepę, możesz znaleźć jakąś pracę.

– Jako wykidajło?

– Chociażby. Nie jesteś typem pacyfisty, sam to pewnie poczujesz przy najbliższej utarczce z jakimś cwaniaczkiem. Po co snuć się po kraju w poszukiwaniu jakichś bzdur.

– To nie jest bzdura! – odwarknął Dymitr, czując nagły przyływ złości.

Nie wiedział, czy to efekt słów staruszka, czy reakcja własnego organizmu, ale ten stan podenerwowania wydał mu się całkiem naturalny. Mimo tego złagodził nieco ton głosu, oświadczając:

– Skoro napisałem o tym w notatce sprzed trzech lat i do tej pory, po tych wszystkich atakach, nadal noszę ze sobą taką wersję, to musi być coś ważnego. Tak to czuję. Chciałem iść do Krakowa i do Krakowa pójdę. Z tobą albo sam.

– W porządku, w porządku – zapewnił nieco przestraszony Maksym. – Będzie jak chcesz. Zawsze tak jest, ty tu dowodzisz, szefie – staruszek wysilił się na żartobliwy ton.

– Jak stoimy z zapasami?

– Dobrze, jest nawet kilka puszek z mięsem na czarną godzinę, wojskowe zapasy.

– Byłem w wojsku?

– Może i byłeś, nie wiem. Znamy się dosyć... No nie, aż tak znowu długo. Nie wiem nic o twojej przeszłości, ale sądząc po twojej i starych bliznach kondycji, to przed Dniem Sądu raczej nie zajmowałaś się pracą umysłową. Bez obrazy.

Dymitr poczuł, jakby gdzieś w odmętach świadomości coś mu drgnęło. Jakieś odległe, prawdopodobnie na zawsze już utracone, wspomnienie. Nawet nie spróbował go wydobyć, zamiast tego nakazując:

– Zostaniemy tu do jutra, chcę trochę się rozruszać. Rano ruszymy do Krakowa.

– Na Wawel! – zakrzyknął raźnie Maksym, unosząc zbrojną w widelec dłoń w triumfalnym geście.

Mężczyźni dokończyli posiłek w ciszy i opuścili kuchnię, w rogu której nerwowo poruszył się drobny pająk. Przystanął na kilka chwil, jakby oczekując, czy przedstawiciele wymierającego gatunku nie powrócą. Jego pałkowate odnóża drgnęły w końcu, niosąc korpus w stronę jednej ze zniszczonych pajęczyn.

Późnowiosenny, pogody choć nieco wietrzny, dzień sprzyjał forsownemu marszowi. Objuczony okazałych rozmiarów plecakiem Dymitr nadawał tempo dla Maksyma, również mozolnie taszczącego na plecach swój życiowy dobytek. Stary radził sobie naprawdę dobrze, a jego miarowy oddech świadczył, że był przyzwyczajony do wysiłku fizycznego. Dymitr z uznaniem patrzył na swojego towarzysza, wyrzucając sobie lekkomyślność w pierwszej ocenie tego człowieka. W tym czasach nierozsądne było oceniać kogoś na pierwszy rzut oka, taka pomyłka mogła drogo kosztować. Na właściwy teren Krakowa wkroczyli jakieś pół godziny temu i z każdą chwilą zabudowa wokół jezdnii, po której maszerowali, stawała się coraz gęstsza. Tak samo wzrastała liczba rdzewiejących samochodów, we wnętrzach których tkwiły szczątki pasażerów. Wciśnięte w zmurszałe ubrania szkielety poniewierały się też po chodnikach, przywodząc na myśl rozrzucone przez rozkapryszone dziecko lalki. Dymitr bezwiednie wypowiedział na głos myśl, która nagle zakwitła mu w umyśle:

– Śmierć przyszła nagle.

– W końcu to dzieło Boże.

– Skoro tak mówisz...

– Nie ja, tylko wszyscy. Słuchaj Dymitr, ja rozumiem, że może teraz wydaje się to dla ciebie czymś niemożliwym, ale każdy tak miał. Przyzwyczajaj się do tej myśli.

– Po to, żebym musiał to robić od nowa po kolejnej utracie pamięci?

– Tej swojej wieży Babel przecież tak szukasz.

– Bo to coś ważnego.

– Twój wybór. W każdym razie długo tak już nie pociągniesz, coraz mniej ludzi

podróżuje, kończą się zapasy, a działające gospodarstwa rolne to już praktycznie małe twierdze, nikogo nie przyjmą. Kiedyś będziesz musiał się ustatkować.

Dymitr odburknął coś niezrozumiale i przyspieszył kroku, podejrzliwe zerkając ku stojącemu w poprzek drogi autobusowi. Skierowany w stronę przybyszów bok pojazdu był zamalowany na biało, tworząc coś w rodzaju tablicy, na której ktoś umieścił jakieś napisy. Z bliska tekst okazał się rodzajem powitalnego ostrzeżenia głoszącego:

Przybysze! W Królewskim Mieście Kraków znajdziecie schronienie, Straż Miejska sprawuje władzę na terenie Starego Miasta, granicą są Planty. Jesteśmy uzbrojeni – chcesz do nas przystać, to przestrzegaj naszego Prawa! Punkt informacyjny przy Teatrze Bagatela.

Pod spodem ktoś dorysował wielkiego penisa, znalazło się też miejsce na kilka wyzwisk pod adresem Straży. Maksym prychnął pogardliwie, kwitując:

– Nawet po końcu świata komuś chciało się szukać zdatnej do użycia farby, żeby dorysować wielkiego fiuta. Mówię ci, Dymitr, gdybyśmy nie wyginęli, to za tysiąc lat archeologowie nazwaliby nas modernistyczną kulturą falliczną.

– Jak ktoś ma w głowie kutasy, to niech je sobie rysuje. Jego czas, nie mój autobus. Lepiej martwmy się, jak w ogóle znaleźć ten teatr.

– Tym się akurat nie martw się, bywałem tu często przed Dniem Sądu.

– Katastrofą.

– Zwał, jak zwał. Poza tym niedługo będziemy mijali prokocimski szpital, a kawałek dalej stoi hipermarket. Oba miejsca pewnie dawno już szabrowano, ale może coś zostało. Znajdziemy?

– Czemu nie – stwierdził Dymitr i ruszył przed siebie, zostawiając w tyle wpatrzonego w autobus Maksyma.

Stary wymamrotał pod nosem:

– Szkoda, że nie mam farby...

Godziny spędzone na penetracji szpitala, hipermarketu oraz kilkunastu mieszkań nie przyniosły efektów. Większość znalezionej żywności puszkowanej była już przeterminowana, a panoszące się wszędzie szczury dokończyły dzieła zniszczenia. Rozczarowani mężczyźni

podjęli przerwana wędrowkę w stronę centrum, walcząc z pokusą, by zajrzeć do mijanej w pewnej odległości galerii handlowej i marketu budowlanego.

– Będzie jeszcze czas na szabry – uspokajał Maksym. – Jeszcze z pół godziny i wejdziemy na most Dębnicki, stamtąd jest już blisko do rynku.

– Ciekawe, jak odnoszą się do obcych.

– Jak wszędzie, jeśli wydajesz się przydatny, to zawsze znajdzie się jakiś ką. Na twoim miejscu byłbym spokojny, taki byk jak ty wszędzie znajdzie zajęcie. Zwykle robiłeś...

– Nie interesuje mnie, jaki byłem, sam odkryję, co we mnie siedzi.

– Twoja wola.

– Szkoda, że samochody trafił szlag – stwierdził Dymitr, definitywnie kończąc temat swojej poprzedniej tożsamości. – Na pewno wszystkie wysiadły?

– Tak, wszystkie na pewno siadły. Przynajmniej te w miarę nowe. Ogólnie cała elektronika padła. Widać tam w górze chcieli nam całkowicie utrudnić resztę życia. Ciekawe czym właściwie przegięliśmy? Przecież ostatecznie nie wywołaliśmy nuklearnej wojny, nie było super wirusa ani większych patologii. Żyjesz sobie spokojnie, pilnując swoich spraw i nagle BACH! Koniec świata.

– Ciekawe, dlaczego my przetrwaliśmy. Jak myślisz?

– Wybacz, ale o czymś takim prawie obsesyjnie gadałeś tuż przed ostatnim atakiem. Nie mam już sił o tym znów dyskutować, zresztą doszlibyśmy do tego samego wniosku. Nie wiadomo. Bóg tak zdecydował, basta.

– Naciągane to trochę.

– Dla ciebie wszystko jest wielką zagadką. Daj sobie spokój Dymitr, i tak za kilka miesięcy nie będziesz pamiętał tych przemyśleń.

Maksym poczuł ukłucie strachu, widząc nienawistne spojrzenie rozmówcy, który przyspieszył, oznajmiając sucho:

– Ruchy. Widać już ten twój most.

Stary chciał coś dodać, ale ostatecznie wstrzymał język za zębami. Lepiej było nie drążyć tematu amnezji. Dymitr był człowiekiem, z którym nie należało się zbytnio spierać. Dla własnego bezpieczeństwa.

Wsluchana w kojący szum Wisły, klęcząca na trawie dziewczyna niezdarnie splunęła przed siebie. Lepka, zmieszana z krwią plwocina częściowo przyłgnęła do jej podbródka, potęgując rozdrażnienie pokonanej nastolatki, nienawistnie spoglądającej na oddalające się sylwetki czterech starszych dziewczyn.

– Szmaty! – krzyknęła.

Triumfujące napastniczki nie zareagowały, spokojnie maszerując po betonowej ścieżce w stronę kontrolowanej przez Straż Miejską strefy. Ich ofiara przetarła gniewnym ruchem twarz i ignorując ból całego ciała, zaczęła strzepywać z ubrania liczne ślady butów. Na koniec przejechała lekko rozciętym językiem po, na szczęście nienaruszonych, zębach. Kilka ostrożnych ruchów upewniło ją, że nie doznała poważniejszych obrażeń. Trochę sińców, nic więcej. Bywało gorzej. Wzrok pokonanej padł na zmaltretowane truchło łabędzia. Dostojna, biała szyja była w połowie złamana, a skopany korpus sugerował, że nieszczęsne zwierzę po śmierci, a może jeszcze za życia, służyło za piłkę. Pokuśtykała w stronę ptaka, obiecując mu:

– Jeszcze się wyjdzie na nasze, zobaczysz!

Wyprostowała złamaną szyję łabędzia i spojrzała ze smutkiem w stronę pobratymców zabitego stworzenia, którzy stłoczyli się na drugim brzegu rzeki. Wypluwając kolejną porcję zlepionej z krzepnącą krwią śliny, ruszyła w stronę pobliskiego mostu. Nagłe nudności zmusiły ją do zmniejszenia energicznego tempa marszu, lecz nie zdołały utrzymać jej w miejscu i skłonić do odpoczynku. Zatrzymała się dopiero w połowie zapelnionego powbijanymi w siebie samochodami mostu, wsiadając do jednego z pojazdów. Wnętrze białej skody combi było utrzymane w czystości, a kolorowa kapa narzucona na tylne siedzenia nadawała mu przytulnego charakteru. Dziewczyna wdusiła blokadę drzwi od strony kierowcy, z uśmiechem słysząc charakterystyczne trzaśnięcie zamków w pozostałych drzwiach. Mechanizm w „jej” samochodzie wciąż działał bez zarzutu. Obrzucając tęsknym spojrzeniem martwy od lat panel radiowy, przeszła na tylne siedzenie i, ignorując wypełniający wnętrze pojazdu zapach stęchlizny, przymknęła oczy, czekając na sen.

Nie uchwyciła momentu, w którym zapadła w kojącą drzemkę, ale gwałtowne przebudzenie sugerowało, że jej czujny organizm wychwycił jakiś sygnał ostrzegawczy, który wymagał świadomej interpretacji. Wciąż leżąc, ostrożnie sięgnęła pod siedzenie kierowcy, dobywając skrytą tam maczetę. Wtedy usłyszała stłumiony, ale coraz bliższy dźwięk. Rozpoznała go, to były ludzkie głosy. Męskie. Przez twarz dziewczyny przebiegł gniewny

grymas, a palce silniej zacisnęły się na drewnianej rękojeści broni. Kilkoma głębokimi wdechami uspokoiła oddech i nie ruszając się z miejsca, słuchała głośnej rozmowy nadciągających intruzów.

– Zakorkowany nawet po końcu świata! – stwierdził z ponurą satysfakcją Maksym, gdy mężczyźni wkroczyli na most Dębnicki. – O, Wawel stoi nienaruszony.

– A dlaczego miałby nie stać?

– Nie wiem, ktoś mógł podpalić. W Łąncucie widziałem pożar zamku.

– Pewnie sam go podpaliłeś.

– Jak możesz – zaprotestował bez większego przekonania stary.

– Nieważne. Myślisz, że w tych samochodach jest coś wartościowego?

– Oczywiście, pełno tam wartościowych rzeczy. Tyle, że nieprzydatnych.

– Czyli bezwartościowych.

– Biorąc uwagę obecny kurs towarowy... – stary przerwał, widząc malujący się na twarzy rozmówcy gniew i dokończył – tak, bezwartościowych. Szkoda naszego czasu. Najpierw załatwmy sprawę z tą całą strażą.

– Może będą coś wiedzieć o wieży.

– Słuchaj Dymitr... Nie uważasz, że z takimi pytaniami lepiej poczekać, aż nas przyjmą do społeczności, albo chociaż wpuszczą do chronionego obszaru?

– Niby dlaczego? Nie zależy mi na przyjęciu do społeczności, tylko na informacji.

– Jasne, jasne. Ale zrozum, przychodzi ktoś obcy i od razy wypytuje o jakąś wieżę Babel. To wygląda trochę... Szalenie.

– Więc masz mnie za wariata?

– Nie! Ech, nie da się z tobą rozmawiać.

– To nie rozmawiaj. Wybacz Maksym, ale teraz jesteś dla mnie praktycznie obcą osobą. Jeśli nie chcesz mi pomagać, to nie musisz. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– JA nie mam zobowiązań? To ty powinieneś być mi wdzięczny za zadbanie o ciebie, kiedy leżałeś nieprzytomny, myślisz...

– Cicho. Patrz.

Maksym, wbrew sobie, zamilkł, kierując wzrok za wyciągniętą dłonią rozmówcy. Dymitr wskazywał oddalony o jakieś pięć metrów biały samochód, mówiąc:

– Nie uważasz, że to dziwne?

– Co?

– Auto jest dosyć czyste, ktoś musiał je niedawno umyć.

– Przecież padał deszcz, poza tym jest biały, więc...

– Mówię ci, że jest zbyt czysty!

– Dobra, w porządku. Ktoś go umył, co z tego?

– Po co?

– Może kiedyś był jego? Chodź.

– Nie. Przeszukamy go.

– Niby co...

Mężczyźni zamilkli, dostrzegając wewnątrz pojazdu jakiś ruch, który poprzedził dźwięk odblokowywanych drzwi. Ze środka wyskoczyła jakaś dziewczyna, trzymając w ręku sporych rozmiarów maczetę. Wolną dłonią przerzuciła do tyłu długi, czarny warkocz. Ubrana w paramilitarny strój nieznajoma wyglądała, jakby chciała rzucić się do ucieczki, ale zamiast tego krzyknęła zaskoczona:

– Maksym?!

– Cześć, Judyta – wymamrotał wyraźnie skołowany mężczyzna. - Widzę, że nawet po końcu świata w Krakowie nadal panuje moda na maczety.

– Hej – zwróciła się do Dymitra – uważaj na tego gnoja. Rok temu okradł mnie w Tarnowie praktycznie ze wszystkiego! Do Krakowa przyszedłem jak nędzarka!

– Ale najwyraźniej sobie poradziłaś – skwitował Maksym. – Ładny samochód.

– Co ci się stało? – spytał Dymitr, uprzedzając ripostę wścieklej dziewczyny.

– Nie twoja sprawa, mięśniaku. I naprawdę, uważaj na tego typa.

– Podobno to mój przyjaciel.

– Podobno?

– Nie pamiętam.

– Co, staruszk, teraz robisz ludziom pranie mózgu wmawiając im kumplostwo?

– Nie. Dymitr ma pewien problem...

– To niej jej sprawa – uciął mężczyzna. – Powiedz, wiesz coś o... tutejszej społeczności – dokończył, widząc karcące spojrzenie Maksyma.

– Należę do niej. Ogólnie w całym rynku jest sporo pustych mieszkań w kamienicach, można je sobie spokojnie zajmować. O prowiant i opał na zimę każdy troszczy się sam, właściwie ta cała samozwańcza Straż Miejska to zwykły gang. Trzeba zgłaszać im wszystko, co się w danym tygodniu znajdzie i oddawać podatek, jakąś jedną piątą całości. W zamian za to niby pilnują porządku.

– Czyli niby co? – spytał Dymitr.

– W obrębie centrum robią patrole, nie dopuszczają do bójek, w razie czego wymierzają karę. Ogólnie nawet całkiem im to wychodzi. Na wstępie każdy obcy pokazuje co ma ze sobą, wybierają z tego co im się spodoba i możesz wejść. Każdą broń oddaje się do depozytu, poza palną, taką zabierają na zawsze. Wszystkie uliczki prowadzące do ścisłego centrum są zamurowane albo czymś zabarykadowane, więc nie wejdziecie inaczej, jak od strony Teatru Bagatela.

– Widzieliśmy znak na Prokocimiu – oznajmił pretensjonalnie Maksym – więc wszystko wiemy, chodź Dymitr.

– Nie tak szybko! – warknęła Judyta. – Dużo wam powiedziałam, poza tym jesteś mi przecież coś winien, Maksym. Podziel się zapasami.

– Zapomnij! Znam Kraków, nie potrzebujemy przewodnika! Poza tym niby co zrobisz? Machniesz tym swoim nożykiem? Dymitr przetrąci ci kark zanim zdążysz wziąć porządny zamach. Nie ma oporów przed walką z kobietami.

Judyta przyjrzała się rosłemu mężczyźnie, który wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie przymknął usta, wydając tylko niezrozumiały pomruk. Dziewczyna uchyliła drzwi do samochodu i wrzuciła do środka swoją broń. Następnie podeszła do Dymitra z wyciągniętą ręką, z uśmiechem mówiąc:

– Załatwmy to oficjalnie, jestem Judyta. Witaj.

– Dymitr – odparł zmieszany mężczyzna, nieufnie ściskając dłoń nastolatki.

– A więc, Dymitrze, to prawda, że nie masz oporów przed biciem kobiet? - spytała z rozbajającym uśmiechem.

– Nie wiem. Nie pamiętam – wybąknął.

– Nie ma, zapewniam cię – wtrącił się Maksym. – Znam ten twój słodki ton, mała, chcesz ubić jakiś interes, co?

– Sprawa jest prosta. Dymitr pomoże mi rozwiązać problem z czterema lokalnymi siksami, które zaszły mi za skórę. W zamian możecie zostawić część swoich gratów w tym samochodzie. Dla Straży zostawicie jakieś ochłapy, a w moim mieszkaniu znajdzie się dla was pokój, inaczej przez miesiąc musielibyście tyrać dla Straży, w zamian za łaskawe oficjalne pozwolenie na osiedlenie się w centrum, chociaż i tak byście tam mieszkali.

– Zatem wszystko ustalone! – oznajmił radośnie Maksym. – Prawda, Dymitr? – spytał pośpiesznie, spoglądając trwożnie na milczącego towarzysza.

– Skoro taki właśnie jestem – odparł zrezygnowany mężczyzna – niech będzie.

– Super! – krzyknęła entuzjastycznie Judyta. – Ładujcie co chcecie do bagażnika, zaraz wam otworzę.

Z tymi słowami otworzyła drzwi od strony kierowcy i pochyliła się, by pociągnąć ulokowaną przy siedzeniu wajchę blokady bagażnika. Maksym obrzucił wypięte pośladki dziewczyny łakomym spojrzeniem, jednocześnie trącając łokciem Dymitra, by ruchem głowy pokazać mu, na co powinien zerknąć. Zatopiony we własnych myślach mężczyzna nie zareagował, odruchowo unosząc tylko ramię, jakby chciał odgonić natarczywą muchę. Tymczasem Judyta stanęła przy samochodzie, informując:

– Kluczyk jest w schowku. A kiedy dojdziemy na miejsce musicie być cierpliwi. Cała procedura, powiedzmy, powitalna trochę potrwa, ale nie próbujcie o nic się targować, bo tylko zapłacicie więcej. Nie mówcie nic o mnie, nie chcę, żeby ludzie nas ze sobą łączyli zanim Dymitr nie załatwi sprawy. Jak wpuszczą was do centrum znajdźcie kamienicę numer trzydzieści dziewięć, wejdźcie do środka i stańcie w klatce schodowej. Mam tutaj jeszcze coś do załatwienia.

Nie czekając na reakcję rozmówców, dziewczyna ruszyła w stronę, z której przyszli. Maksym odprowadził ją spojrzeniem, które przeniósł na Dymitra. Tym razem mężczyzna nie był rozkojarzony, patrzył wprost na swojego towarzysza i wycedził przez zęby:

– Będziesz zlizywać mózg z asfaltu, jeśli chociaż pomyślisz o zabraniu mi

czegokolwiek, złodzieju.

– Spokojnie! Dymitr, tę małą znałem ledwie tydzień, razem uzupełnialiśmy zapasy w Tarnowie. Poza tym przesadza, nie zabrałem wszystkiego. Mogła skończyć znacznie gorzej, więc w sumie miała szczęście, że trafiła na mnie. Jej wina, że zaufała obcemu.

– Zapamiętam i nie popełnię tego błędu – skwitował Dymitr, otwierając bagażnik.

Maksym zrezygnował z dalszej rozmowy, również skupiając uwagę na wnętrzu samochodu, do którego zaczął niemrawo wkładać część swoich rzeczy. Starszy mężczyzna raz jeszcze pożałował, że nie podmienił notatki dotyczącej tożsamości Dymitra, kiedy miał ku temu sposobność. Na szczęście w przyszłości ten błąd będzie można łatwo naprawić.

Judyta minęła Teatr Bagatela, idąc szybkim krokiem w kierunku wylotu uliczki Szewskiej prowadzącej do właściwego Rynku. Wejście zastawione było przez dwa ustawione tyłem do siebie samochody dostawcze. Pomiędzy nimi zostawiono dosyć miejsca, żeby umożliwić jednemu człowiekowi w miarę swobodne przejście. Strażnicy, siedzący przy punkcie kontrolnym na groteskowo wyglądających, skórzanych fotelach zmierzyli ją wzrokiem i nie zareagowali, gdy precyzyjnie się pomiędzy mieszczącymi niegdyś towar pakami na tyłach pojazdów, wkraczając na teren Rynku. Spacer wzdłuż brzegu Wisły zabrał jej więcej czasu, niż planowała, ale potrzebowała tego. Kojący widok łabędzi pomógł odzyskać spokój ducha i teraz żałowała, że tak pochopnie wciągnęła do swojego życia dwójkę obcych mężczyzn. Wprawdzie Dymitr sprawiał wrażenie bardziej zagubionego, niż niebezpiecznego, ale był w towarzystwie Maksyma. A po starym kombinatorze można było spodziewać się wszystkiego, co najgorsze. Na pewno miał na rosnącego mężczyznę większy wpływ, niż ten mógłby sobie tego życzyć. Z nią było tak samo, nawet przez chwilę nie wątpiła w dobre intencje „starego, poczciwego Maksyma”, aż pewnego ranka obudziła się bez swojego dobytku, pozbawiona nawet resztek, żeby zaspokoić poranny głód. Gniew znów powrócił, energicznie pchnęła drzwi kamienicy, omal nie powalając nimi wspartego o ścianę Dymitra.

– Wybacz – burknęła. – Idziemy.

Bezceremonialnie minęła siedzącego na schodach Maksyma, który w ostatniej chwili odsunął się nieco, unikając kolizji z butem ich tymczasowej gospodyni. Cała trójka weszła na

ostatnie piętro budynku, gdzie Judyta wydobyla z kieszeni klucz i otworzyła masywne, pomalowane na niebiesko drzwi prowadzące do zajmowanego przez nią mieszkania.

– Gdyby przyszło wam do głowy łązić po innych kamienicach, to pamiętajcie, że drzwi pomalowane na niebiesko oznaczają lokale zajęte.

– Strażnik, który nas przeszukiwał przed wejściem o tym wspomniał – oznajmił Maksym. – Ogólnie radził trzymać się swoich spraw.

– I słusznie – skwitowała Judyta. – A zaraz pogadamy o naszych sprawach. Wnieście plecaki do tamtego pokoju, dostaniecie do niego klucz. Mój pokój też jest zamykany, a poza nim nie znajdziecie niczego ciekawego. W kuchni jest zapas świeżej wody, ale nie możecie go ruszać! Chcecie własnej, to idźcie nad Wisłę albo do jakiejś pompy.

– Nie zużyjemy dużo – zapewnił Dymitr. – Szkoda czasu na załatwianie takich spraw teraz. Mogę przy najbliższej okazji przytargać ci tyle wody, ile tylko masz pojemników. Przejdźmy do interesów.

– Śpieszy się wam gdzieś?

– Niekoniecznie – wtrącił się Maksym – Dymitr po prostu lubi działać szybko.

– Zamknij się, mam własny język – rozkazał rośli mężczyzna. – Chcę mieć to z głowy, bo potem będę miał kilka pytań. O wieżę.

Maksym westchnął żałośnie, ale zdecydował się nie wtrącać.

– W porządku, chodźmy do kuchni – zakomenderowała Judyta.

Dziewczyna usadowiła się na parapecie, wskazując mężczyznom krzesła stojące przy okrytym ceratowym obrusem stole.

– Więc – zaczęła ostrożnie – sprawa jest prosta. Chcę, żeby Dymitr dał komuś nauczki. Lekcję pokory powiedzmy. Uch, to brzmi jak w jakimś żalonym kryminale. Po prostu ma obić porządnie pewną dziewczynę, Ewę. Chodzi zwykle w towarzystwie trzech swoich szmat, ale nie są groźne. Nigdy nie widziałam, żeby miały noże czy inną broń. To zwykle dziwki, więc praktycznie nie chodzą na szabry, wszystko mają zapewnione.

– Więc nie ruszają się z centrum? – spytał ostrożnie Maksym.

– Oczywiście, że ruszają! Inaczej w ogóle nie myślałabym o zrobieniu im krzywdy, nie warto mieć na pieńku ze Strażą. Jeśli nie pracują, to łążą w okolicach centrum, a czasem przesiadują w galerii przy dworcu. Nie zostało w niej już nic pożytecznego, więc nikt tam nie

chodzi, ale one zawsze znajdują tam jakieś błyskotki albo ciuchy, które ktoś im pierze. To szperanie to chyba ich jedyna rozrywka. Dziś też powinny tam siedzieć.

– O co właściwie wam poszło? – spytał od niechcienia Dymitr, chociaż jego spojrzenie sugerowało, że odpowiedź jest dla niego co najmniej istotna.

– Dziś? Zabiły łabędzia. Wiedzą, że lubię je obserwować, więc dorwały jednego ze stada i zostawiły w miejscu.

– Ale przecież nie chcesz się mścić z powodu jakiegoś głupiego, wodnego gołębia – bardziej stwierdził, niż spytał Maksym.

– Łabędzie to królewskie ptaki! Już za samo zabicie jednego z nich powinny dostać za swoje! Poza tym porządnie mnie dziś skopały. I to nie był pierwszy raz. Zrobiły więc wystarczająco dużo, żebym w końcu postanowiła coś z tym zrobić, prawda?

– Nie odpowiedziałas na pytanie – drążył temat Dymitr.

– Weszłyście na swoje tereny, podkradanie klientów, czy coś w tym stylu? – zgadywał uśmiechnięty Maksym.

– Nie jestem dziwką! Może dlatego tak im przeszkadzam.

– Śmieszne. Jesteś młoda, ładna, o ciążę już nie ma się już co martwić, powinnaś zarabiać na swoim ciele ile wlezie – zasugerował Maksym. – Pruderia poszła w odstawkę razem z cywilizacją.

– Dzięki za dobre rady, może sam z nich skorzystasz?

– Z pełnym brzuchem łatwo o granie cnotliwej, co? W drodze tutaj też byłaś taka?

– Chcesz mi wmówić, że okradłeś mnie, żeby dać lekcję życia? Nie dałam ci dupy w Tarnowie, więc chciałeś, żebym z głodu puszczała się z każdym w drodze stamtąd tutaj?

– Jakoś tu dotarłaś.

– Na swoich warunkach!

– To chyba odważne – wtrącił się Dymitr – żyć po swojemu.

– Błagam, Dymitr – Maksym teatralnie załamał rękę. – To żalosna próba trzymania się przeszłości. Dziewczyna mogłaby żyć po królewsku przez najbliższe dwadzieścia lat, wystarczyłoby, że parę razy dziennie rozchylałaby kolana. Kogo by to obchodziło? Ludzi? Boga? On nas nas skreślił, wykasował ludzkość jednym pociągnięciem pióra w jakiejś swojej

księdze życia, zostawiając tylko nas, żywe trupy czekające na śmierć! Świat się skończył, nie ma miejsce na sentymenty! Gdybym był śliczną paniusią oddawałbym się wszystkim dzień w dzień, jeśli tylko przedłużyłoby to moje życie chociaż o kilka dni! Kiedy czuje się już na karku sapanie starości to człowiek docenia każdy dzień. Dosłownie KAŻDY!

W kuchni zapadła nerwowa cisza. Maksym wodził nienawistnym spojrzeniem po pomieszczeniu, koncentrując wzrok to na swoim towarzyszu, to na dziewczynie. W końcu wydusił z siebie flegmatyczne:

– Idę po nasze zapasy. Zjedzmy coś i chodźmy do tej galerii, potem będziesz mogła sobie deliberować o cnotach po Dniu Sądu, a Dymitr marzyć o wieży do nieba.

Dymitr bez słowa ruszył za nim, zostawiając bezmyślnie wpatrzoną w okno Judytę sam na sam z myślami. Dziewczyna pozostała w tym stanie jeszcze jakiś czas, nim również opuściła pomieszczenie, kierując się do swojego pokoju. Wchodząc, zamknęła za sobą drzwi na klucz i padła na niedbale zasłane łóżko. Chciała teraz odpocząć, wyrzucić spod czaszki wszystkie zbędne myśli i bolesne wspomnienia. Leżała przez jakiś czas w bezruchu, wciąż czując rosnący niepokój. Ostatecznie zrezygnowała z tej namiastki wypoczynku i wydobyla spod łóżka małą czarną torebkę, którą przewiesiła przez ramię. Dopiero teraz poczuła się naprawdę gotowa do ostatecznej konfrontacji ze znieawidzonymi „dziewczynami Ewy” i być może, choć na razie wołała tego uniknąć, również z tymczasowymi sojusznikami. Maksym mimo wszystko miał rację, była zbyt ufna. Otworzyła drzwi i ruszyła do drugiego pokoju, w którym markotni mężczyźni wyjadali z dużej, wojskowej konserwy jakąś kleistą breję.

– Wychodzimy natychmiast – rozkazała i nie czekając na aprobatę zaskoczonych mężczyzn, opuściła pomieszczenie.

Powinni się przyzwyczaić, że to ona wydaje tutaj rozkazy! - uznała, uśmiechając się w duchu, słysząc jak mężczyźni posłusznie oderwali się od posiłku.

Dymitr i Maksym z zaciekawieniem przyglądali się grupie ludzi zgromadzonych pod sukiennicami, którzy wymieniali między sobą znalezione w opustoszałym mieście towary. Uzgodnili z Judytą, że pokręcą się trochę po rynku, podczas gdy dziewczyna pierwsza opuści strefę kontrolowaną przez Straż i zaczeka na nich przy hotelu *Polonia* położonym niedaleko dworca PKP. Wizyta na tym prowizorycznym bazarze nie była wskazana dla kogoś, kto nie chciał zwracać na siebie uwagi, lecz widok krzątających się wokół własnych, codziennych

spraw ludzi działał wręcz hipnotycznie. To była oaza dawno zapomnianej normalności, migawka z czasów, gdy takie pchle targi przyciągały rzesze łakomych na swojską, bazarową tandetę konsumentów. Maksym pierwszy zdołał odwrócić wzrok i natychmiast szturchnął Dymitra w bok, ostrzegając:

– Jakiś strażnik nam się przygląda, chodźmy stąd.

– W porządku – odburknął w odpowiedzi, mierząc nieprzychylnym spojrzeniem mężczyznę ubranego w czarny, znoszony uniform Straży Miejskiej.

Wokół targowiska kręciło się jeszcze kilku przedstawicieli lokalnego prawa, wszyscy ubrani w takie same, wysłużone stroje.

– Ciekawe, czy tylko pilnują porządku, czy pobierają jakieś dodatkowe opłaty – zadumał się Maksym.

Jego towarzysz nie był zainteresowany kontynuacją rozmowy, mruknął tylko pod nosem „Nie wiadomo” i skręcił w wybraną na chybił trafił, opustoszałą uliczkę. Odgłos kroków odbijał się echem od ścian wiekowych budynków, gdy mężczyźni skręcali w kolejne odnogi ulic. Przed ich oczyma przesuwały się rdzewiejące tablice z ich nazwami: Szpitalna, Floriańska, Świętego Tomasza, Świętego Marka, Sławkowska. Część z nich kończyła się zwieńczonymi zwojami drutu kolczastego barykadami lub wzniesionymi niezdarnie ceglanymi murami.

– W końcu rozwiązał się problem tych przeklętych gołębi – stwierdził nagle Maksym.

– Ciekawe, czy były smaczne?

– Na pewno lepsze od żarcia z puszek. Jak myślisz, ile tu może żyć ludzi?

– Może kilkadziesiąt osób, może więcej. Nie mam bladego pojęcia. Teraz tego nie ocenimy, wszyscy są poza centrum na poszukiwaniu zapasów.

– Tragiczne, łązić tak cały dzień w poszukiwaniu jedzenia, którym napelnisz brzuch albo opłacisz haracz dla samozwańczych strażników porządku.

– Jakoś niespecjalnie widzę różnicę pomiędzy takim modelem, a tym co było przed Dniem Sądu – zażartował Maksym. – W sumie powinieneś się cieszyć, mimo wszystko masz jakiś cel w życiu. Dziwaczny, ale i tak lepszy, niż zwykła egzystencja. Masz fart, że nie pamiętasz najgorszego, tych dni tuż po końcu wszystkiego, kiedy nie można było oddychać, bo zewsząd dochodził cię zapach gnijących trupów. Cokolwiek złego ci się przydarzy mija kilka miesięcy i znów jesteś *tabula rasa*, gotowy iść śladem wieży do nieba. To jest...

– Jak myślisz, ile jeszcze wytrzyma tutejsza społeczność? – spytał Dymitr, bezceremonialnie przerywając wywód rozmówcy o swoim szczęściu. – Dużo widzieliśmy takich miejsc?

– Wszędzie są jakieś, nawet malutkie, społeczności – odpowiedział niezbyt pewnie Maksym. – Taka już nasza natura, lubimy zbijać się w stada. A ci tutaj są w sumie całkiem nieźle zorganizowani, chociaż chyba niczego nie hodują. Może przetrzymają jeszcze z rok albo dwa. Wyzierają co jest do wybierania i grzecznie ruszą stadkiem dalej, na nowe miejsce. To co, idziemy?

– Tak, myślę, że minęło już dosyć czasu.

Mężczyźni opuścili płataninę uliczek, ponownie trafiając na obszar właściwego Rynku i ruszyli w stronę punktu kontrolnego. Bez słowa minęli pełniących wartę strażników, idąc prosto przed siebie, aż do Teatru Bagatela, gdzie Maksym zakomenderował:

– W prawo.

Wkrótce ponownie zanurzyli się w gąszcz krętych, tym razem gęsto zasłanych ludzkimi szczątkami, uliczek, wśród których stary orientował się raczej kiepsko. Dymitr z obrzydzeniem spojrzął na stadko szczurów, przycupnięte w otwartej bramie jednej z kamienic. Zwierzęta były nienaturalnie wyrosnięte, a pokrywające dosłownie każdy mijany szkielet ślady drobnych siekaczy wyraźnie sugerowały przyczynę dobrobytu gryzoni.

– Ciekawe, czy kiedyś jakiś gatunek wyewoluuje na tyle, żeby zacząć badać pozostałości naszej cywilizacji? – zadumał się Dymitr.

– Nawet jeśli, to zajmie to tyle, że niewiele zostanie do badania.

– No właśnie. Może przed nami też istniało jakieś życie, które zmiotła podobna katastrofa?

– Szkoda mi sił na tłumaczenie tego jeszcze raz, Dymitr. Wiesz, takie ateistyczne podejście w świecie zniszczonym z woli Boga to naprawdę coś... Oryginalnego.

Mężczyzna nie odpowiedział, zamiast tego przystając, by wskazać na przewrócony, nowoczesny, tramwaj, którego bok nosił wyraźne ślady uderzenia. Obok powalonego niebieskiego pojazdu szynowego stał doszczętnie rozbity samochód osobowy. Dymitr stwierdził:

– Ten samochód wygląda jak łowca, który zdołał samotnie powalić wielkiego

niebieskiego węża, ale sam zginął od odniesionych ran.

– Błagam cię, naprawdę, nie próbuj NIGDY więcej tworzyć takich porównań – roześmiał się stary, dodając: – Jesteśmy już blisko, pójdziemy wzdłuż szyn, aż do samego hotelu.

– Hej! – zakrzyknęła Judyta, która właśnie wyłoniła się zza wagonu. – Więc dobrze mi się zdawało, że was słyszę. Chodźcie!

Dymitr natychmiast ruszył za nią, a stary podążył jego śladem, kątem oka dostrzegając tablicę z nazwą ulicy, w którą skręcali – Krzywa. Pamiętał, że z tego miejsca do galerii było już całkiem blisko, co wywołało u niego lekkie ukłucie niepokoju. Będzie co ma być – stwierdził w myśli, podbiegając trochę, by zrównać się z energicznie maszerującą parą tymczasowych sprzymierzeńców.

Na dużym, choć niemal zupełnie niezabudowanym, placu przylegającym do dworca kolejowego i galerii handlowej roilo się od czarnych, kraczących złowieszczo ptaków. Dymitr z niesmakiem spojrział na rozwłózione po całej okolicy ludzkie kości, które nosiły ślady dziobów. Maksym nie wydawał się specjalnie zainteresowany obecnością stworzeń, wspominając tylko, że lepsze te diabły, niż gołębie. Natomiast Judyta ostrzegła:

– Nie próbujcie ich straszyć, potrafią być bardzo agresywne. Podobno to stado wędruje po całym mieście. Ludzie mówią, że z roku na rok jest coraz większe.

– To gawrony? – spytał Dymitr i nie czekając za odpowiedź, dodał: – Są znacznie większe niż powinny.

– Pewnie to kruki – wtrącił się Maksym.

– Nie, to gawrony – oznajmiła pewnie Judyta. – Rzeczywiście są jakby większe. Albo po prostu lepiej odżywione. W każdym razie nie zwracajcie na nie większej uwagi ani nie prowokujcie. Ptaki same nie zaatakują.

– Hitchcock ma inne zdanie na ten temat – wtrącił Maksym.

– Kto? – spytała Judyta.

– Stary znajomy, bardzo zaskakujący facet.

Dymitr zaśmiał się głośno, co spowodowało krótki wybuch gniewnego krakania drepczących w pobliżu, domniemanych gawronów. Chwilę później trójka ludzi ostrożnie minęła największe skupisko podenerwowanych ptaków, które nieodparcie sprawiały

wrażenie, jakby w każdej chwili były gotowe przypuścić atak na intruzów. Dziewczyna zatrzymała się przed przeszklonym wejściem do rozległej galerii handlowej i poinstruowała stojących za nią mężczyzn:

– Ewa i reszta pewnie jest gdzieś blisko. W środku jest sporo światła, ale jak je znam, to pewnie trzymają się w pobliżu wyjścia. Chodźmy.

Pchnęła drzwi i ostrożnie wsunęła się do wnętrza budynku, gestem nakazując, żeby mężczyźni zostali na swoich miejscach. Przeszła kilka metrów i niepewnie oparła się o poręcz, spoglądając w dół, na niższe piętro galerii, krzycząc:

– Ewa! Jestem tutaj, chcę pogadać!

Po chwili, zwielokrotniony przez echo, kobiecy głos odpowiedział:

– Sama się prosisz o kłopoty, gówniaro! Zaraz tam będziemy i lepiej dla ciebie, żebyś już teraz zaczęła uciekać, kretynko!

Judyta szybko wyszła na zewnątrz, prosząc towarzyszących jej mężczyzn:

– Stańcie bliżej ściany, tak, żeby idąc do wyjścia dziewczyny was nie zauważyły.

Sama również odsunęła się od drzwi, ostrożnie zdejmując zabraną ze swojego mieszkania torebkę, groteskowo kontrastującą z jej militarnym strojem. Po chwili z wnętrza budynku wyszła czwórka młodych dziewczyn wyglądających na dwadzieścia parę lat. Ubrane w kolorowe, krzykliwe stroje, z warstwą niestarannie nałożonego makijażu, wyglądały jakby celowo chciały parodiować postacie operetkowych kurtyzan. Najstarsza z nich, wulgarnie wydekoltowana blondynka z podpuchniętym okiem i rozbitą wargą prychnęła pogardliwie, jednocześnie obrzucając stojących za Judytą mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem.

– Cześć, Ewa – wysyczała Judyta, cofając się jeszcze trochę, tak, żeby stanąć w jednym szeregu ze swoimi sojusznikami. – Znalazłaś coś ciekawego?

– To twoi nowi przyjaciele? Czym im płacisz?

Jedna z dziewczyn zaśmiała się bezmyślnie, ale umilkła skarcona spojrzeniem Ewy, która patrząc na Dymitra, spytała niewinnie:

– Masz ochotę spenetrować z nami galerię, byczku? Nie daj się zbajerować, ta mała nic tutaj nie znaczy, cokolwiek wam obiecała, przebijemy ofertę.

– Nasza Judytka tak cię urządziła? – spytał nagle Maksym, posyłając Ewie zawadiacki uśmiech.

– Nie – odparła ponuro dziewczyna – nie ona. Słuchajcie, wracamy do rynku, chodźcie z nami, niech cnotliwa gówniara poszpera sobie po sklepach, może znajdzie dla siebie jakiegoś plastikowego chłopaka.

Maksym wymienił spojrzenia z Dymitrem, który z kolei zerknął na Judytę, oznajmiając:

– Najpierw wyjaśnijmy kilka spraw.

– O! Potrafisz mówić! – zaśmiała się perliście Ewa. – Słuchaj, dziś nie ma o czym rozmawiać. Jeśli Judyta ma do nas jakąś sprawę, to lepiej porozmawiajmy jutro, jak opadną emocje.

– Dymitr, mógłbyś z łaski swojej zdzielić ją w ryj? – spytała spokojnie Judyta.

– Teoretycznie – wybąknął, czując na sobie świdrujące, pożądlive spojrzenie Ewy, która poprosiła:

– Judyta, daj facetowi spokój. Nasz herkules nie chce się z tobą bawić, odpuść. Nie pyskuj więcej, a obiecuję, że damy ci spokój. Twoim łabędziom też. Nie chcemy przecież kłopotów, prawda? - dodała wyzywająco.

Zgromadzeni przed galerią handlową ludzie stali naprzeciw siebie, oczekując na reakcję trzęsącej się ze złości Judyty, która gniewnie rozsunęła zamek torebki i sięgnęła do środka, wydobywając stamtąd pistolet. Robiąc krok do tyłu, odbezpieczyła broń, której lufę skierowała w stronę rozmówczyni ze słowami:

– Znalazłam to cudo aż na Hucie, w komisariacie.

– Dziewczyno, Straż może cię zabić za ukrywanie czegoś takiego – ostrzegła chłodno Ewa, niespokojnie obserwując wylot lufy.

– Co ty wyprawiasz?! – spytał gniewnie wyraźnie przestraszony Maksym. – To Dymitr miał się zająć twoimi problemami! Oszalałaś?!

– Może jest zbyt zajęty patrzeniem w cycki tej dziwki? A może... Hej!

Judyta krzyknęła, gdy Dymitr sprawnym ruchem odebrał jej broń i wysunął magazynek, ze zdumieniem stwierdzając:

– Pełen!

Ponownie wsunął magazynek do rękojeści i przez moment również wycelował do Ewy i jej kompanek, lecz ostatecznie zdecydował się opuścić broń, tłumacząc:

– Uznajmy sprawę za załatwioną. Myślę, że Ewa i reszta dziewczyn nie będą już sprawiać problemów.

– Co? Za kogo ty się masz? – wykrzyczała Judyta, za wszelką cenę próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. – Nie traktuj mnie jak dziecka, które bawi się czymś niebezpiecznym! Oddawaj pistolet albo je załatw! Teraz już nie ma odwrotu, nie rozumiesz? Ta suka powie Straży o broni! Będę skończona! Zabij je!

– Nie rób nam problemów, Dymitr! – zaprotestował Maksym. – Oddajmy broń Straży, może nam to jakoś wynagrodzą.

Mężczyzna cofnął się nieco, jakby podejrzewał, że ktoś zechce wydrzeć mu z ręki cenną zdobycz, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. To jedna z dziewczyn skoczyła nagle ku drzwiom galerii. Ciało mężczyzny zareagowało szybciej niż umysł, bezwiednie uniósł broń i zanim zdążył świadomie zareagować, jego palec już wduśił spust. Huk wystrzału spłoszył gawrony, które wzbiły się w powietrze, trzepotem skrzydeł i krakaniem zagłuszając kolejne trzy wystrzały. Było już po wszystkim. Ewa razem ze swoimi towarzyszkami leżała na bruku, krztusząc się własną krwią. Każda z kul sięgnęła celu i cztery konające prostytutki jęczały przeciągle na oczach zaskoczonego Dymitra. Mężczyzna przełknął głośno ślinę, tłumacząc:

– To nie byłem ja. To było... jak jakiś program, czysty instynkt.

– Boże – wybełkotała Judyta, klękając przy drżącej spazmatycznie Ewie. – Zabiłeś je. Naprawdę to zrobiłeś!

Wstała chwiejnie, czując bolesny skurcz dudniącego jak oszalałe serca.

– On je zabił – wybełkotała patrząc na zaskoczonego Maksyma – tak naprawdę.

– Przecież tego chciałaś – wydukał Dymitr.

– Człowieku, zabiłeś te cztery dziewczyny jak psy, bez mrugnięcia okiem – wymamrotał z mieszkanką podziwu i grozy w głosie Maksym. – Co teraz? Czy coś i nam za to grozi, przecież jesteśmy poza centrum, więc wszystko w porządku? – dodał szybko, patrząc na Judytę.

Dziewczyna nie odpowiedziała na pytanie, sprawiając wrażenie całkowicie nieobecnej. Spróbowała podnieść, martwą już, Ewę, lecz widząc, że jej wysiłki nie przynoszą rezultatu, omiotła plac pustym spojrzeniem, pytając:

– Gdzie gawrony?

– Jest w szoku – stwierdził Maksym. – Gdzie ta dziewczyna się uchowała? Chyba po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy taki obrazek.

– Dla mnie to norma? – spytał Dymitr. – Taki właśnie jestem?

– Miałem ci nie mówić o tym, jaki byłeś przed ostatnim wyczyszczeniem pamięci.

– Maksym, mów – zakomenderował mężczyzna, opuszczając i zabezpieczając broń, którą bezwiednie wciąż trzymał wyciągniętą przed siebie.

– Nie wiem, naprawdę. Nigdy do tej pory nie widziałem, jak strzelałeś. Bijesz się świetnie, bezlitośnie, więc chyba taki już jesteś. Zwyczajnie dziki.

– Może po prostu im zazdrościłam? – stwierdziła bardziej przytomnie Judyta. – Miały wszystko zapewnione, żyły w bogactwie. Codziennie co innego do jedzenia, zero zmartwień o opał, wodę... Ja tak nie potrafiłam, nie mogłam się przemóc. Zabiłam je. Z głupiej zazdrości.

– To chyba dobrze, że nie zostałam dziwką – wymamrotał Dymitr. – To raczej one ci tego zazdrościły. Zresztą po to chyba tu przyszłaś, żeby je zabić, zabrałaś przecież broń.

– Tak... Tak mi się wydawało. Właściwie nie żałuję ich tak bardzo, potrafiły być naprawdę wstrętne, nie tylko w stosunku do mnie. Po prostu ta śmierć jest taka... nieodwracalna.

– Śmierć jest nieodwracalna, Amerykę odkryła – stwierdził pogardliwie Maksym. – Dymitr ma rację, masz czego chciałaś. Sentymenty umarły razem z kodeksem karnym. Teraz chodźmy stąd i nie wracajmy do rynku zbyt wcześnie, może ktoś tam usłyszał strzały.

– Wezmę broń, w porządku? – upewnił się Dymitr.

– Co? Tak, tak. Nie chcę jej. Macie rację, chodźmy stąd – zdecydowała Judyta, zmuszając się, żeby odwrócić wzrok od ciała.

Ludzie odeszli śpiesznie, zostawiając po sobie zwłoki, obok których po kilku minutach przysiadł pierwszy gawron, a wkrótce jego śladem podążyły kolejne osobniki. Czarna masa kraczących, podnieconych zapachem krwi ptaków zaczęła radośnie ucztować na truchle przedstawicieli gatunku, który niegdyś uważał się za prawowitych władców Ziemi.

Pierwsza do strefy kontrolowanej przez Straż weszła Judyta, niedługo potem dołączył do niej Maksym, radząc Dymitrowi, by ten mimo wszystko pozbył się pistoletu. Mężczyzna wrzucił tylko ramionami i obiecał się zastanowić. Teraz, zbliżając się szybkim krokiem do

punktu kontrolnego z bronią wsadzoną za pasek spodni, żałował swojej decyzji. Mimo grubej, skórzanej kurtki obecność ukrytego glocka była dosyć widoczna, wystarczyło na dłużej zatrzymać wzrok na lekkim pagórku wybrzusającym materiał. Od wąskiego przesmyku pomiędzy samochodami dzieliło go ledwie dwa metry, gdy młodszy ze strażników zrećźnie zastąpił mu drogę, pytając:

– Co dziś znalazłeś?

– Nic.

– Jasne, tak jak twój kumpel i ta cwaniara. Nie wiem, co kombinujecie, ale miejsce na terenie, który ochraniaamy, kosztuje. Nie trać czasu na pośredników, my załatwimy wam lokal.

– Mogę przejść?

– Nie rób sobie wrogów w pierwszym dniu.

Dymitr zrobił krok do przodu, niemal taranując mężczyznę, który w ostatniej chwili ustąpił mu z drogi. Strażnik chciał ruszyć za intruzem, ale jego towarzysz powstrzymał go chwytem za kark, prosząc:

– Darek, daj spokój nowemu. Widzisz jakie to bydłę, przyda się w Straży. Myślisz, że taki facet będzie tracił czas na grzebanie w śmieciach? Mówię ci, sam się do nas zgłosi.

– Wspaniale, teraz będziemy przyjmować każdego włóczęgę?

– Nie każdego. Zresztą nie wydziwiaj, jutro dostaniemy swoją dolę z tego tygodnia zbierania, to będziesz mógł sobie poszaleć z Ewelina. Chociaż mówię ci, że marnujesz tylko zapasy na tę dziwkę, zobaczysz. Po co miałyby odchodzić od Ewy? Przecież jej dziewczynki żyją na bogato, jak pączki w maśle.

– To dobra dziewczyna. Kiedyś będzie chciała się ustatkować.

– Jasne. Ciekawe niby po co? Zresztą twój towar, twoja sprawa. A swoją drogą dziewczyny już wróciły?

– A wychodziły?

– Chyba. Ktoś z poprzedniej zmiany je widział, a może tylko mówiły, że chciały wyjść?

– Pewnie tak. Naprawdę myślisz, że Ewelina nie odejdzie od Ewy?

– Powiem tak: za to, co ona tam dostaje sam bym dawał dupy. Jeśli już by miała

odejść, to do kogoś lepiej ustawionego od ciebie. Co ty jej możesz dać lepszego?

Darek nie odpowiedział, zaciskając gniewnie pięści. Jeszcze zobaczymy – pomyślał, nagle kierując myśli ku Dymitrowi. Faktycznie, facet nadawał się do pilnowania porządku jak nikt, pewnie rzeczywiście wstąpi do Straży. Byli mniej więcej w podobnym wieku, może znajdą wspólny język, a nawet zostaną kumplami. Dobrze mieć obok siebie górę mięsa na wypadek jakiejś draki, chociaż ostatnio i tak nie mieli za wiele roboty. To dobrze, będzie miał więcej sił na zabawę z Eweliną. A może znów tylko sobie pogadają? Marzenia o prostytutce znów pochłonęły uwagę zdesperowanego strażnika. Kiedyś, pewnego dnia, Ewelina będzie jego, wiedział o tym. Tymczasem musiał na nią uważać, niektórzy faceci potrafili być brutalni, a myśl, że dziewczynie mogłaby się stać krzywda, była nie do wytrzymania.

– Będą dla niej mili, bo wiedzą, że jej strzegę – wycedził. – Jestem przecież strażnikiem! A nikt nie jest na tyle szalony, żeby zadzierać z Darkiem.

Drugi strażnik westchnął, widząc, jak jego towarzysz, swoim zwyczajem, coś do siebie mamrotał i odszedł kilka kroków dalej. Wolał nie zadzierać z tym typem. Zresztą nikt nie powinien tego próbować.

Leżący na kuchennym stole pistolet przyciągał wzrok trójki siedzącej wokół wysłużonego mebla ludzi. Oprawiona w tworzywo sztuczne broń na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie zabawki, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę ze śmiertelnej skuteczności tego przedmiotu. Dymitr zerknął w stronę okna, za którym z wolna zapadał już zmierzch, mówiąc:

– Czas jeść.

– Przynieście swoje zapasy, zjemy tu – oznajmiła Judyta. – Dymitr, zabierz broń ze stołu, ja wyciągnę talerze.

Maksym parsknął śmiechem i wstał z miejsca, kpiąc:

– Jak w prawdziwej rodzinie, co? Wybacz, ale nie mam dziś sił na takie szopki. Zjemy...

– ...tutaj – dokończył beznamiętnie Dymitr. – Będzie okazja porozmawiać.

Stary obrzucił Judytę nieprzychylnym spojrzeniem i bez słowa opuścił pomieszczenie,

by po chwili wrócić z dwiema puszkami czerwonej fasoli. Dziewczyna wydobyła z szafki podobną puszkę oraz talerze, które ustawiła na stole ze słowami:

– Dziś zasłużyliśmy na coś ciepłego.

Otworzyła okno i ustawiła pod nim, stojący do tej pory w kącie, grill. Z innej szafki wyciągnęła mocno przypalony rondel, rozkazując:

– Wsypcie fasolę, ja zajmę się ogniem.

Dymitr posłusznie sięgnął po pierwszą puszkę, natomiast Maksym rozsiadł się wygodnie na krześle, wyrażając na głos swoje myśli:

– Ciekawe co z nami będzie, jak skończą się zapałki, zapalniczki, czy papier na podpałkę. Bez ognia nie ma życia. Poza tym termin przydatności do spożycia tych wszystkich puszek mija w tym roku, albo minął w tamtym. W czasie tego lata będzie trzeba koniecznie znaleźć jakiś wojskowy magazyn.

– Może coś znajdziemy – burknął Dymitr wachając podejrzliwie zawartość ostatniej puszeki, zanim wrzucił fasolę do naczynia. – Zależy, gdzie trafimy.

– Kraków wam nie odpowiada? – spytała Judyta, ganiąc się w myśli za użycie tonu wyraźnie zdradzającego jej rozczarowanie.

– To zależy – odparł młodszy z mężczyzn. – Najpierw muszę znaleźć pewne informacje. Chcę się dowiedzieć czegoś o wieży Babel. Nie tej biblijnej, tylko... Chyba jakimś miejscu.

– Bibliotekarz napomknął mi kiedyś o czymś takim.

– Bibliotekarz? – spytał entuzjastycznie Dymitr. – Gdzie go znajdę?

– To szalony staruszek, który siedzi w budynku biblioteki wojewódzkiej. Na dobrą sprawę nie ma tam nic cennego, więc nikt go nie niepokoi. To niedaleko stąd, możemy pójść tam jutro z rana. Dobrze go znam, na pewno będzie szczęśliwy, że ktoś zechce się od niego czegoś dowiedzieć. Jest trochę zniedołężniały i poza mną chyba nikt go nie odwiedza.

– To miłe, jedzenie też mu przynosisz? – spytał Maksym.

– Tak, wypożycza mi też książki, nawet założył dla mnie kartę – odparła radośnie Judyta i zamilkła nagle orientując się, że rozmówca z niej zakpił.

– Tracisz cenne zapasy na kogoś, kto pożyje najwyżej kilka lat – zawyrokował Maksym. – Jesteś tak cholernie naiwna, dziewczyno.

– Cynizm jest za to szalenie wygodny – wtrącił się Dymitr.

– Nie lepszy od mordowania wszystkich, którzy staną ci na drodze – odciął się stary.

Dymitr nie odpowiedział, zamiast tego zerkając wymownie ku leżącej na parapecie broni. Tymczasem Judyta założyła ruszt i postawiła na nim garnek, po czym wyciągnęła z szuflady chochelkę, prosząc przy tym:

– Dajmy sobie spokój z kłótniami. Póki co jest nam po drodze, więc nie psujmy atmosfery. Zjemy, wypimy się, a jutro, zanim pójdziemy do biblioteki, skoczę na Rynek. Rano ludzie zwykle zbierają się pod kościołem Mariackim, żeby podyskutować, gdzie kto idzie po zapasy, często organizują grupy poszukiwawcze. Dowiem się, gdzie kto idzie.

– Myślisz, że zajdą do galerii? – spytał zaniepokojony Maksym.

– Może. Czasem ktoś tam wpada jak Ewy i dziewczyn nie ma w centrum, bo tam dają dupy i nie muszą oddawać Straży części zapłaty.

– Nic nie wspominałaś o takim układzie! – wybuchnął stary. – Jeśli to dziwki pod patronatem władzy, to ich nagłe zniknięcie może narobić mnóstwa problemów! Szczególnie, że wszystkie były młode. Nikt normalny nie puściłby takiej straty płazem!

– Spokojnie, zostały zastrzelone, więc zwalą to na jakiegoś wędrowca.

– Maksym ma rację – przyznał niechętnie Dymitr – ta sprawa może nam zaszkodzić. W dniu, w którym przyszliśmy zginęły dziewczyny, których nienawidzisz. W dodatku dziś cała nasza trójka wyszła na poszukiwania, a wróciła z niczym. Ktoś może szybko skojarzyć te fakty. Jutro, po wizycie w bibliotece, odejdziemy. Pójdiesz z nami? – dodał jeszcze, sam nie wiedząc, dlaczego ten pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy.

– Pomyślę o tym na pewno – wypaliła natychmiast Judyta. – Zresztą to zależy od tego, jak się potoczą sprawy. Jeśli wszystko przycichnie, to nie ma sensu, żebym stąd odchodziła. Dobra, koniec gadania, fasola już gotowa – ucięła rozmowę.

Szybko nałożyła każdemu porcję i podała sztucce, rzucając zdawkowe: „smacznego”. Każdy zajął się zawartością własnego talerza, nie zdradzając ochoty na kontynuowanie rozmowy. Kolacja upłynęła w nieco napiętej atmosferze. Dymitr zastanawiał się, czy ma to związek z jego niespodziewaną propozycją, czy też widmem odwetu ze strony Straży. Postanowił nie myśleć już o tym więcej, miał ważniejsze problemy na głowie. Starał się też nie próbować zgadnąć, ile przydatnych informacji może znać Bibliotekarz. Równie dobrze staruszek może okazać się tylko lokalnym wariatem, nie mającym o niczym pojęcia. To byłby

prawdziwy cios. Mężczyzna coraz głębiej zaczynał odczuwać potrzebę zdobycia jakichś informacji o tajemniczej wieży Babel. Poczul, że przestał jedynie ślepo podążać za wskazówkami zostawionymi przez jego poprzednie „ja”. Poszukiwania Babel stały się czymś naturalnym, częścią tego, kim był przedtem i teraz. Ta dziwaczna odyseja, którą podejmowały jego kolejne „wcielenia” była ostatnią rzeczą, jaka wiązała go z utraconą przeszłością. Nagle, gdzieś głęboko na dnie świadomości Dymitra zrodziła się nieśmiała myśl, że być może odnalezienie tego Graala sprawi, iż wróci jakaś niewielka częśćka jego wspomnień sprzed katastrofy. Choćby tylko prawdziwe imię, więcej nie potrzebował. Uśmiechnął się pod nosem, popuszczając wodze fantazji, i z ochotą pochłaniając kolejną porcję niedogotowanej fasoli, która mimo wszystko smakowała wyśmienicie. Nadzieja była doskonałą przyprawą.